

## Bezrobocie: konserwowana patologia systemu

Źródło: [Rzeczpospolita](#)

Dostawca: [Gremi Media](#)

18. marca 2013

Nie da się pogodzić postulatu zwiększenia zatrudnienia młodych z nagonką na elastyczne formy zatrudnienia - pisze główny ekonomista Polskiej Rady Biznesu

Rynek pracy ma dwa skrajnie wrażliwe segmenty: młodych, którzy dopiero startują w konkurencji pod nazwą "kariera zawodowa", i tych po pięćdziesiątce, którzy z jakichś powodów stracili pracę i nie są w stanie samodzielnie jej odzyskać.

Obie te grupy potrzebują pracy i zarobków. Obie są ważne dla gospodarki, choć ich charakterystyka z punktu widzenia makroekonomii jest diametralnie odmienna. Życiowa krzywa konsumpcji, gdzie największe wydatki przypadają na okres grubo przed pięćdziesiątką, powoduje, że dla producentów i dostawców usług grupa młodych jest najbardziej atrakcyjna. Oni ciągną gospodarkę. Często gęsto na kredyt. Dla podatnika z kolei, który zmuszony jest finansować transfery socjalne, zastępujące wynagrodzenie z pracy przymusowych "młodych emerytów", segment 50+ ma wagę szaloną, choć - jak się wydaje - niedocenianą przez wszystkich pracujących.

### Efekt płacy minimalnej

Nie ma jednak, jak się wydaje, większego sensu licytowanie się, który z dwóch skrajnych segmentów rynku pracy jest z punktu widzenia polityki gospodarczej istotniejszy. Oba bowiem wspólnie przesądzają o lepszym bądź gorszym stanie gospodarki, o dynamice popytu konsumpcyjnego, wysokości podatków, kondycji budżetu państwa, wreszcie o nastrojach społecznych, które już bezpośrednio przekładają się w demokracji na werdykt wyborczy.

Nie sposób lekceważyć tego czysto politycznego aspektu sytuacji na rynku pracy. Bezrobocie wśród młodych jest tu bez wątpienia więcej ważące niż w grupie 50+. A to dlatego, że dynamiczna grupa młodych jest znacznie podatniejsza na radykalne hasła. Młody bezrobotny, idący w setki tysięcy, to łakomy kąsek dla cynicznych łowców skrajnych poglądów. I większe - jak się wydaje - zagrożenie dla demokratycznego ładu niż w przypadku dojrzałych, ale mniej spójnych światopoglądowo ludzi, którzy wypadli z rynku pracy. I na tym może poprzestać przy próbie odpowiedzi na pytanie: która grupa bezrobotnych jest ważniejsza dla stabilizacji demokratycznego ładu.

Interesuje nas tu bowiem przypomnienie kilku elementarnych prawd dotyczących związków między polityką gospodarczą a sytuacją absolwentów niemogących lub niepotrafiących znaleźć drogi na rynek pracy.

Po pierwsze - nie da się w świetle wyników dostępnych badań sfalsyfikować w sposób nie budzący wątpliwości tezy, że dwa skrajne segmenty rynku pracy konkurują ze sobą bezpośrednio tylko w jednym wypadku: kiedy rzecz idzie o wysokość płacy minimalnej. Wzrost płacy minimalnej pociąga bowiem za sobą spadek popytu na pracę młodych i niedoświadczonych, oraz jego wzrost na pracę wypchniętych wcześniej z rynku ludzi starszych, bardziej doświadczonych i przez to wydajniejszych.

Wniosek z tego dość oczywisty: jeśli polityczni decydenci, za głośno artykułowany priorytet, uznają zmniejszenie bezrobocia w grupie najmłodszych, a jednocześnie godzą się łatwo - nieraz zadziwiająco łatwo - na wzrost płacy minimalnej, to zaprzeczają własnym, publicznie deklarowanym, priorytetom. Każda podwyżka płacy minimalnej na trudnym rynku zmniejsza szanse na znalezienie pracy tym, którzy dopiero startują, a zwiększa te szanse dla tych, którzy z rynku po wielu nieraz latach pracy wypadli. Tej prawdy zakrzyczeć się nie da.

*Będziemy mieli bary w Polsce i na całym świecie, wypełnione dyplomowanymi podawaczami posiłków i drinków tak długo, dopóki nie skończymy z edukacyjną korupcją*

Po drugie - nie da się też przekreślić bezpośredniego i czytelnego związku między jakością kształcenia a szansą znalezienia pracy. Choć mnóstwo się robi, by ten związek zamazać. Uważam, jak wielu moich kolegów ekonomistów i nauczycieli akademickich z powołania, że system kształcenia w Polsce jest największym sankcjonowanym przez państwo systemem powszechnej korupcji. Nauczyciele udają, że uczą; uczniowie za udawaną pracę kupują świadectwa i dyplomy, mylnie przy tym sądząc, że coś im się za to należy. Te mylne przekonania są następnie boleśnie weryfikowane przez rynek. Bo pracodawca, inaczej niż właściciel świstka papieru kupionego minimalnym wysiłkiem, ceni jakość i solidność renomowanych kierunków studiów.

Zwodnicza magia dyplomu

Wniosek: dyplom do niczego jeszcze nie uprawnia; dyplom nie daje automatycznie biletu wstępu na rynek pracy w zawodzie, z którym jest nominalnie związany. Będziemy mieli pełno bezrobotnych absolwentów; będziemy mieli bary w Polsce, i na całym świecie, wypełnione dyplomowanymi podawaczami posiłków i drinków, tak długo, dopóki nie skończymy z edukacyjną korupcją. Tej lekcji, w postaci zasadniczego przemodelowania systemu kształcenia na wszystkich szczeblach (od elementarnego poczynając), co ma bezpośredni wpływ na bezrobocie wśród absolwentów, nikt poza państwem nie przerobi. Państwo, proponując racjonalizację systemu edukacyjnego, może i powinno liczyć na wsparcie sektora prywatnego, który w dominującej części jest odbiorcą chcianego lub nie, produktu finalnego tego systemu. Ale też sektor prywatny, tworząc miejsca pracy dla młodych, nigdy nie dopuści do zaniku konkurencyjności rynku. Konkurencja na rynku pracy jest tak samo ważna jak miejsca pracy, albo może nawet ważniejsza. Nikt nie ma prawa nakazywać pracodawcom, by zatrudniali absolwentów skorumpowanego systemu edukacji.

Po trzecie - państwo może próbować doraźnymi środkami wpłynąć na wzrost popytu na pracę w grupie najmłodszych. Menu dostępnych instrumentów podatkowych, paropodatkowych, wydatków na doksztalcanie i innych jest już dawno spisane. Nikt tu niczego nowego nie wymyśli. Problemem w tym wypadku są jednak nie tylko koszty. Problem podstawowy, to efektywność. Zachęty podatkowe z definicji są limitowane w czasie. Nie będąc permanentnym sposobem obniżki kosztów zatrudnienia, nie gwarantują też jego ciągłości. Zaburzają przy tym jednolitość rynku pracy, segmentując go poprzez różnicowanie kosztów pracy. Nie jestem fanem takich rozwiązań.

Wniosek: wzrost popytu na pracę wymaga zmniejszenia narzutów na koszty pracy. Ponieważ dla państwa oznacza to ubytek dochodów, naturalne wydaje się ich zrekompensowanie poprzez zwiększone obciążenie konsumpcji. I z tym musimy się pogodzić, jeśli chcemy mniejszego bezrobocia, a jednocześnie myślimy przytomnie o zrównoważonej gospodarce, jako systemie naczyń połączonych.

Po czwarte wreszcie - nigdy dość przypominania tej banalnej prawdy: to nie państwo tworzy miejsca pracy; tworzą je przedsiębiorcy. Ale dając zatrudnienie, przedsiębiorcy nie są altruistami. Bywają nimi czasem, niektórzy. Ale gdzie indziej niż w pracy. Jednak warunki dla zatrudnienia tworzy zawsze regulator rynku. Jeśli są one źle pomyślane - cudu nie będzie.

*To nie państwo tworzy miejsca pracy, lecz przedsiębiorcy. Ale warunki dla zatrudnienia tworzy regulator rynku. Jeśli są źle pomyślane - cudu nie będzie*

Wniosek: nie da się pogodzić postulatu zwiększenia zatrudnienia młodych z nagonką na elastyczne formy zatrudnienia. Kiedy w trosce o przyszłe emerytury absolwentów obkłada się składką ZUS pierwszą umowę-zlecenie, a nie opodatkowuje się kolejnych, to przecież wiadomo, jak to się skończy: pierwsza będzie opiewała na kwotę mizernie niską; kolejne nieopodatkowane ZUS umowy będą już tłustsze. Politycy nigdy nie nadążą za energią i pomysłowością rynku. Mogą tylko pchać rynkowe zachowania w kierunku coraz bardziej moralnie dwuznacznym.

Czas na zmianę nawyków

Niech mi będzie wolno na koniec powiedzieć: wysokie bezrobocie wśród młodych zawsze jest złem, bo ma fatalne implikacje dla gospodarki, psychiki, polityki wreszcie. Ale też to zło nie bierze się przecież z niczego. Jest wytworem całego łańcucha: od szkoły, poprzez legislację, a na zwyczajowych uwarunkowaniach kulturowych kończąc. Ten łańcuch jest doskonale zidentyfikowany. Problemem jest - jak zwykle - znalezienie większości zdeterminowanej do naprawy systemu. Trudny rynek pracy powinien sprzyjać konkurencji. Ale często sprzyja zamiast tego patologiom: korupcji, nepotyzmowi, populizmowi. Niestety, przykro powiedzieć, ale w takim patologicznym systemie wciąż zbyt wielu czuje się jak ryby w wodzie.

Janusz **Jankowiak**